Lwów 25. Września №114. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesieczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Rycin y mód kwartal. 1 Zł. 20kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłata od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1 ½ kr. i zadopłatę 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

JAK TO BYWAŁO.

przez

Oswalda Pietruskiego.

IX.

Wizyta sąsiedzka.

(Ciąg dalszy.)

Przez ten czas pan łowczy, jako rzadki w tej okoligość, i mający prócz tego wiele w sobie pychy, naprzód układał w głowie, jakby tu postąpić, aby w przejściu do pokojów bawialnych nie dać kroku przed sobą staroście Kaniowskiemu. Lecz cały w tej mierze wymyślony planik na nic się nie przydał, bo jak tylko wszyscy od stołu powstali, pan Kaniowski wysunął się naprzód, prowadząc obie panny Mrozowickie.

Pan Koziebrodzki był jak nowo narodzony, tak go ucieszyła wiadomość o pieniężnym interesie, to też wrócił mu humor wyborny, i kazał wszystkim grę proponować.

— Dobrze! dobrze! mówił Kaniowski. Musimy ograć gospodarza, bo on nigdy nie jest w ambarasie o pieniądze; napchał dukatami worki z tytoniu tureckiego i kontent; wiem to z experiencyi.

Przystąpiono potem do gry, zdecydowawszy się wreszcie wedle zdania samej łowczyni za ćwikiem. Większa część towarzystwa zasiadła do ćwika; starosta zaś Kaniowski, pan Koziebrodzki i pan Zamojski zagrali marjasza szlifowanego w dukaty. Rozmowa wszakże nie ustawała w czasie gry. Ktoś wspomniał Radziwiłłów. Uchwycił pan Kaniowski ten przedmiot.

— Mości pułkowniku! rzekł; niewiem prawdziwie, co ci Radziwiłłowie tak dmą się, że mają tę Barbarę w rodzie, również że siostra króla Jana była za Radziwiłłem; wszakże wy mieliście cztery alianse z królami polskiemi. Jan Zamojski miał Batorównę, matka króla Michała była Zamojska; żona Sobieskiego była pierwej za Zamojskim, a teraz znowu recentissime siostra pana Stanisława jest za Zamojskim.

Zamojski. I wam Potockim na zacności nie brakuje, a przecie nie tak dmiecie; mieliście już wicekróla w rodzie, a kto wie, czyli kiedyś Zahorowskiej przepowiednia się nie spełni, która wam koronę polską wróżyła.

Potocki. Daleka droga!.. ale podróżując gdy byłem w Lejdzie, czepiał mnie się ciągle jakiś anglik, przepowiadając mi koronę.

Zamojski. Gdyby tron był wolny, nie ma w tem nic niepodobnego. Pierwszy nasz gospodarz szanowny jako senator w expektatywie mógłby wnieść elekcją..

Potocki. Nic dziwnego, że taki stary szlachcic jak pan Bolesta posiędzie stołek senatorski; ale powiedzcie mi, ktoby teraz pod Stanisławem zapłaciwszy, nie został senatorem.

Koziebrodzki chcąc zagadać ten przedmiot drażliwy, wymówił uprzejmie Kaniowskiemu, że jego konie niewyprzężone marzną na dworze, przy czem wyraził nadzieję, że tak miłego gościa dłużej w swym domu zatrzyma.

— Deus nobis haec otia fecit! dodał sentencjonalnie.

Starosta przyrzekł noc całą baraszkować, ale co do koni tłumaczył się, że to już u niego taki zwyczaj, i w rzeczy samej tak było, że koni jego nigdy w gościnie nie wyprzęgano. Przy tej sposobności opowiedział anegdotkę o Czartoryskim, kasztelanie Wileńskim, który był garbaty, i razu jednego przepchawszy się przez jakieś tłumy, siadł do powozu swego, tak że stangret jego Matjasz nic o tem nie wiedział. A że było zimno, stangret w złości ciągle powtarzał: a siadajże przeklęty garbusie! Kasztelan usłyszawszy to, ozwał się z najzimniejszą krwią: jestem tu już panie Matjaszu; jedźmy! Ale Matjasz tak się przestraszył, że skoczył z kozła i uciekł.

Rozgrywano tymczasem grubą dosyć pulę. Potocki wygrał i zgartując dukaty z krzyształowego talerza,

— Zda się i to! wyrzekł.

Po kawie wyszły panny Mrozowickie, a potem i inne damy.

Panowie zostali się i do poźna w nocy baraszkowali, śmieli się i dobrze spijali winko.

— A czy nie masz z sobą panie skarbniku, ozwał się Potocki, bandurzysty swego. Pokazało się, że Michałko bandurzysta przyjechał z panem swoim, przywołano go zatem, aby zagrał na lutni i zaspiewał co. Michałko rozmaite spiewał spiewki, a na dobranoc dobrze już podpitym panom odspiewał nowy naówczas utwor Naruszewicza:

»Jeden towarzysz pancernego znaka
(Nazywano go Błażej Sołopiaka)
Chcąc się dać poznać kiedyś na popisie

Zrobił kiereję i nakrył nią rysie.
Nie każdemu to przystoi,
Co sobie we łbie uroi.
Bo, że był dudkiem i z ciała i z ducha,
Wyszło mu na złe sukno i opucha.
Co go kto spotkał, czy żartem, czy szczerze,
Mówił: — dzielny bohaterze!
Piękneć to sukno, ale nie tym kształtem,
Musiałeś krawca przynaglać gwałtem,
Że ci niełądnie uszył kołnierz i rękawy.
Właśnieś teraz z uszyma, jako pies legawy.
Wreszcie nie taki w modę kierej zwyczaj wzięty:
Powinien być stanik wcięty;
Dłuża trochę obwisła; niech trochę w okole
Podetnie jej krawiec w dole,

Niech uszczupli rękawów, nadtoczy kołnierza.
Usłuchał miły Błażej, ale niedoperza
Stworzył z kierei: bo z długą szyją,
Krótkim ogonem, ni to delią
Ni opończą, ni płaszcz zrobił,
Śmiechu tylko przysposobił.
Więc rozgniewany za poradą drugą,
Kazał sobie bekieszkę wykroić nie długą.
Lecz że i w tej nie uszedł śmiechu i cenzury,
Znowu na innej formę przerobił natury
Ów dołoman cudacki; a za każdą miarą
Coraz to wyżej kusy, świecił panią starą,
Nakoniec z częstej mody, zaledwo nożyce
Wyłatać mu z kierei mogły rękawice.
Tak przez ustawne odmiany
I nasz polaczek kochany,
Goniąc już prawie ostatkiem
Świecić będzie ....

Popatrzali się panowie po sobie, a smutne dobranoc sobie oddawszy, rozeszli się. Dzień następny w Chocimierzu wesoło im wszalako minął.

X.

Starania o szlachectwo.

Musimy teraz obejrzeć się za innemi znajomemi naszemi i w tym celu wrócimy do Warszawy, aby nie opuścić dnia piątkowego, w którym jak wiemy pan Drzwiowski miał się udać do pana Kierekiesza. Jakoż ledwie dziewiąta godzina uderzyła na zamkowym zegarze, pan Drzwiowski wszedł do komnaty czekającego nań Kierekiesza, który ubrany już przechadzał się po pokoju, i od czasu do czasu spoglądał na stół, zaprzątniony rozmaitemi papierami. Były tam stare i nowe pargamina, mnogie korrespondencye, stare książki, i mappa Polski; na rogu stało jeszcze naczynie od śniadania, dotąd niesprzątnione, na którem błyszczały herby królewskie: Orzeł dumny, dziarski pogoń, i zastraszony niby ciołek, tulący ogon pod siebie.

Twarz pana Kierekieszy okazywała wewnętrzne zadowolenie, przeciwnie pan Drzwiowski zdawał się być smutny i znękany. I nic dziwnego! wpływały na to jego usposobienie: brak listu od ukochanej Anusi, a więc i niewiadomość o o miejscu jej pobytu; listy gromiące od ojca mieszkającego na Litwie, który synowi zarzuca że trwoni majątek, a to w skutek jakichsić doniesień bezimiennych, nareszcie list obszerny pana Kieny, świeżo odebrany, w którym tenże opisuje próżne swoje usiłowania.

Pan Kierekiesz prosił gościa siedzieć, i sam usiadłszy w krześle poręczowem, dobył pomału ze stolika ważki na dukaty.

— Chciałem sam odwidzić waćpana dobrodzieja, ozwał się do gościa; ale po części katarowa affekcya, po części przekonanie że pan poszedł do teatru oglądać nową i dobrą sztukę, wstrzymały mnie.

— Na teatrze nie byłem, lecz i w domu nie siedziałem. Chciałem odwidzić jednego znajomego, lecz go nie zostałem, porzuciwszy nauki wyjechał na wieś.

— Taka to teraz cała młodzież szkolna. Książę jenerał ziem podolskich, pan Rzewuski, ksiądz Naruszewicz niedaremne w tym względzie robią przedstawienia najjaśniejszemu panu, który za nadto jest dobry. Jak pan byłeś w w szkołach inaczej się zapewne działo, jak to widocznie rezultat pokazuje. Rzadko bowiem da się spotkać kawaler moralnie tak wykształcony, materyalnie tak wyposażony, a fizycznie tak dobrze zakonserwowany.

— Bardzo wdzięczny jestem za łaskawie przypisywane mi zalety. Pieniędzy nie tracę, zdrowie mam dzięki bogu dobre, ale moralnie dużo cierpię.

— Któż jest mój mości dobrodzieju bez cierpień na tym padole? Czy prawdziwe, czy urojone, znajdą oni człowieka choćby i na tronie. Jakże rzadko n. p. widzę najjaśniejszego pana z rozjaśnionem obliczem, dzień dzisiejszy wszakże do wyjątków należy.

— Może to już opatrzność łaskawa tak dla mnie zrządziła, mimowoli bowiem zbiera jakiś lęk na myśl, że się ma stanąć po raz pierwszy przed monarchą, a jak mi pan pisałeś bez audjencyi nie obejdzie się podobno.

— Na żaden przypadek! lecz bądź pan zupełnie spokojny; już ja rzeczy tak ukartowałem, że wszystko pójdzie jak po maśle. Trzeba tylko odwagi i przyzwoitej śmiałości, bo król przecie nad wolnym narodem panujący, i sam z rodu tylko szlachcic, nie lubi płaszczenia się.

— O którejż godzinie pójdziemy na audjencją?

— Niewiem tego jeszcze z pewnością; zależyć to będzie od powrotu prędszego lub późniejszego najjaśniejszego pana z obiadu u siostry, pani Krakowskiej, która go dziś zaprosiła na świeże wiśnie, przysłane jej w darze od cesa-

rzowej Katarzyny. Skoro wróci, lokaj królewski da nam znać. A spodziewać się należy, iż utrzyma się dobre ranniejsze usposobienie, przyjemną pocztą spowodowane.

— Czy nadeszły jakie dobre nowiny z zagranicy?

— Przeciwnie, król najszczęśliwszy gdy odbierając depesze od posłów, nie odbiera od dworów żadnych korrespondencyi. Dziś właśnie żadnych nie było, nadszedł tylko jakiś komplement od ojca świętego, i wiadomość z Madrytu o narodzeniu jakiegoś infanta. Król zaś jegomość natomiast posłał kilkadziesiąt monet starych polskich dla cesarzowej Teresy do Wiednia, i wygotował depeszę do cesarzowej Katarzyny, i podobno pan z tem poleceniem ważnem pojedziesz jako kurier.

— Broń mię Boże! Ja się chcę żenić, ja już cztery tygodnie nie widziałem mojej najdroższej, a pan mnie na kurjera do Petersburga naznaczasz. Wszak macie tylu kurjerów?

— Trzeba coś i dla ojczyzny zrobić! pan jesteś na punkcie otrzymania szlachectwa a zasług nie masz. Ja dla tego sam królowi tę myśl poddałem, i z resztą cała ta podróż może się za kilka tygodni skończyć. Pan wrócisz do narzeczonej mając już w ręku dyplom szlachectwa, którego otrzymanie zależy od wypełnienia tej legacyi.... Lecz przystąpmy do dzisiejszej czynności naszej, która dalszemu biegowi interesu utoruje drogę. Pan zapewne przybywasz przygotowany?

— Jak to? co pan rozumiesz pod tem?

— Dukaty!...

— A!... są!... proszę!...

I wysypał z worka na stolik pięćset dukatów. Kierekiesz udawał niby obojętność, ale to mu się źle udawało, bo na widok złota na twarz jego wystąpił wyraz chciwości, a ręce aż zadrżały, gdy się go niemi dotknął.

— Chciejże pan tymczasem zabawić się monitorem; zagadł podając mu gazetę, bo zanim schowam dukaty, muszę je przeliczyć, i przejrzeć czy niema między niemi lorynetek, i czy wszystkie ważne.

I monitora ukończył, a pan Kierkiesz jeszcze bawił się złotem, ważąc każdego dukata, oglądając go i macając po razy kilka. Znudzony wreszcie nasz bohatyr porwał leżący na wierzchu herbarz i zaczął rozmaitym przypatrywać się herbom. Wszystkie mu się nadzwyczaj podobały, i niemógł prawdziwie się zdecydować, któryby z nich wybrać dla siebie.

Wsunął nareszcie pan Kierekiesz dukaty do szufladki.

— Niezłe są! wyrzekł; dziękuję.

— Panie Kierekiesz! już to ja koniecznie proszę o Leliwę albo Bończę.

— To być nie może żadną miarą; pan musisz dostać Wieniawę.

— Wieniawę? dla czego? a jakżeż wygląda?

— Żubrza głowa mości dobrodzieju z pierścieniem w nozdrzach, nad hełmem i koroną pół lwa, dzierżącego pół miecza.

— Ciekawym co pięknego w tym herbie, i jak widzę przybył z Czech do nas ten herb, a mój dóm wywodzi swój początek z Włoch, z rodziny La Porta.

— Nie miałem dotąd honoru wiedzieć, z kąd przodkowie asana dobrodzieja pochodzą, ale to być już inaczej nie może, gdyż w dyplomacie Wieniawa już odmalowana i tylko miejsce na nazwisko zostawione. Powtóre już tak królowi zdeklarowałem, i między nami mówiąc, odpowiednią do tego historyjkę ułożyłem, w którą pan ten, jakkolwiek gieniusz uniwersalny, uwierzył zupełnie. Że zaś dyplomat nie wypełniony, to dla tego, iż niewiedziałem jakiej użyć formy, czy nobilitacyi, czy objaśnienia, czy wyświecenia, jak sobie kto życzy. To wszystko teraz do wyboru pod naszym najmiłościwszym panem. Dawniejsi królowie nie byli tak miłosierni i w nadaniach rznęli prawdę. Niewątpię, iż gdy się uda missya w Petersburgu, król przystanie na formę indygenatu z przydomkiem La Porta.

— Nie pocieszna dla mnie forma, bo jużciż we Włoszech nie ma żubrów.

— To prawda a więc będzie objaśnienie dawnego szlachectwa z herbem Wieniawą.

— Ale dla czego się pan tak za Wieniawą upierasz?

— Temu całe inna przyczyna, którą panu opowiem. Trzeba panu wiedzieć, gdy wszedłem wczoraj do króla, niosąc manuskrypta od księdza Naruszewicza, zastałem króla mocno zniecierpliwionego. Szambelan bowiem Psarski, doskonale głuchy, trzy razy mnie pytał jak ma zameldować; trzeci raz odpowiedziałem głośniej nieco. Naturalnie że króla, który właśnie pisał list do cesarzowej Katarzyny i jakieś pudełeczko, z siurpryzą przygotowane, pieczętował, krzyk ten rozgniewał. Otworzył zatem żywo drzwi swoje i zawołał: Aspanowie z zamku knajpę jakąś robicie. Zmieszałem się cokolwiek, lecz król zawsze łaskaw dla mnie, zaraz mi powiedział, jakiego mu potrzeba kuryera do Petersburga. Jak przez natchnienie wspomniałem o panu. Król po krótkim namyśle zgodził się na pana, dodając wszelako, że pana chce widzić, i że o tej korrespondencyi poseł polski wiedzieć nie powinien. Korzystając dalej z z przychylnego usposobienia, wspomniałem o wszystkich dobrych pana przymiotach, o jego doskonałej francuzczyznie i t. d. Dodałem także, iż bawiłeś we Francyi, że piastowałeś w Trianon u królowej francuzkiej z domu Leszczyńskiej, urząd burgrabiego; że cię ta monarchini często wyprawiała z usypiającemi cukierkami do starego bezsennością trapionego ojca, króla Stanisława, do Lunevillu; że wreszcie odwoziłeś do króla Stanisława ostatni jej list po okropnym jego przypadku. gdy już spoczywał na łożu śmiertelnem; że byłeś wprawdzie przypuszczony, ale że już nie było czasu doręczyć listu, że zatem list ten na pamiątkę zachowałeś. Wspomniałem na koniec że ten

*

list królowej zaczyna się od słów: Mon cherissime papa! je vous envoie en mission notre bon Vieniavite Drzwiowski. Wszystko to mocno króla zabawiło: cieszył się że pana pozna, i do missyi użyje. Na wychodnem napomknąłem iż chociaż królowa użyła wyrazu Vieniawite, filiacyi z przodkami złapać pan nie możesz, na co król najłaskawiej odpowiedzieć raczył, że to fraszka, i że to on już naprawi, byle się pan z missyją swoją dobrze spisał. Uradowany zbiegłem do ciebie, i do koperty która niegdyś zawierała prawdziwy list królowej do ojca, a którą bawiący niegdyś w Lunewillu Dzierzbicki przypadkiem u mnie zostawił, dorobiłem inny list taki jaki mi był potrzebny. Weźże pan teraz tę książkę króra zawiera opis dworu francuskiego, wzmiankę o królu Leszczyńskim; a tu masz pan ten list o którym wspomniałem. Siadajże pan i ucz się dobrze na pamięć, wiele królowa ma dzieci, jak wyglądają Versailles, Trianon, Tulerie, jakie zwyczaje i osoby dworskie, abyś pan mógł dobrze odpowiadać na wszystkie pytania. Gdy zaś pójdziemy do króla, list rzeczony trzymaj pan ciągle w ręku, bo na nim to cała sprawa się funduje.

(C. d. n.)

Miłość i cholera.

Zdarzenie prawdziwe.

(Ciąg dalszy.)

— A i mnie kochana referendarzowa raczy oglądnąć! ozwał się szambelan pokornie, i wyciągnął swój język z gracją na jaką się mógł tylko zdobyć.

Wyznać trzeba że ta scena najrzetelniej prawdziwa, wpadała w niepodobną prawie do prawdy śmieszność, poniesioną jeszcze przez powagę z jaką dziewczęta i szambelan wyciągnęli jak najdłużej swe języki, i z jaką referendarzowa poprawiwszy okulary na nosie, przypatrywała się im.

— Cóż tam u Brońci białego na samym końcu..... Brońciu! Brońciu! trzeba się wystrzegać wszystkiego, Wini język najlepszy.

— Scena ta miała od niejakiego już czasu świadka bardzo bliskiego o którym nikomu się nie śniło. Był nim nasz pan Leon, który właśnie przyjechał, i dowiedziawszy się we dworze o porządku surowym jaki się zachowuje u referendarzowej, przysunął się milczkiem do jednego z okien salonowych, na przeciwnej stronie położonych. Wszyscy tak byli zajęci debatą nad jedzeniem zdrowem i niezdrowem, że go nikt nie postrzegł. Słuchał więc cierpliwie i spokojnie całej debaty, żałując tych biednych na punkcie cholery sfixowanych ludzi, a razem rozmyślając jakim by się sposobem mógł dostać do tak srodze strzeżonej warowni. Lecz pokazanie języków przemogło jego cierpliwość i zimną krew. Głośnym parsknął śmiechem, chociaż mimowolnie zadrżał na widok Broncinego języka, który ze wszystkich wystawionych był największy, najdłuższy, najwięcej śpiczasty, a wygjęty w końcu jakby żądło gadziny.

Śmiech ten przestraszył srodze całe towarzystwo, wszyscy spojrzeli ku oknu i na widok śmiejącego się Leona powstał krzyk przerażenia, i wszystkie ręce wytężyły się ku niemu z groźnym i odpędzającym wyrazem.

— Pan Leon!....

— Ze Lwowa!...

I wszystkie panie cofnęły się ku przeciwległej ścianie.

— Ależ ja zupełnie zdrów!.... przemówił Leon.

— Ze Lwowa jedzie i mówi że zdrów!.. Boże boże, co my tobie winne, panie Leonie, że nas chcesz pozarażać...

— Brońciu najdroższa! czy i ty się mnie boisz? przemówił najczulszym i najpieściwszym głosem.

Mimowolnie na ten głos zwróciła się ku oknu; serce jej zadrżało, i oko wytężyło, a noga już się podniosła by podbiegnąć do tak długo niewidzianego kochanka, który tak jakoś dziwnie wypiękniał przez ten czas. Ale babka zatrzymała ją w sam czas.

— Babciu droga! kiedy on mówi że zdrów! patrzaj jak dobrze wygląda.

— Może to gorączkowy rumieniec!...

— Ależ Babciu! miał się czas przewietrzyć, nim do nas dojechał...

— Żeby się przynajmniej był kazał okadzić.

— Okadzę się, wiele każecie, zawołał Leon, i widząc że się układy długo jeszcze przeciągnąć mogą, oparł się rękami na oknie i jednym susem wskoczył do salonu. I nic już nie pomógł piskliwy krzyk załogi, szturmem i niespodzianie zdobytej, Leon przyskoczył i ukląkłszy przed babką i Brońcią, porwał obie za ręce, i kolejno to ściskał, to do piersi cisnął. W tej chwili nawet zapomniał o długim panny Bronislawy języku.

— Przepraszam! przepraszam! wołał. Ale już dłużej bez was moi kochani państwo wytrzymać nie mogłem.

— Aleś nie okadzony! piszczała babka odpychając go. A Brońcia nie mogła się gniewać na kochanka, który na klęczkach przed nią wydał się jej stokroć jeszcze piękniejszym. I odważna na chwilę schyliła się na piękne i otwarte czoło. Aż jej usta zadrżały mimowolnie, i ciągnęły się naprzód, by czoło młodzieńca ucalować. Lecz się wstrzymała w pół drogi, trochę przez wstyd, a trochę przez bojaźń cholery.

— Nie boisz się już mnie? szepnął młodzieniec....

— Ale czy jesteś zdrów? odszepnęła dziewczyna...

— Kadźcie go, kadźcie! wołała babka, odchodząc ze strachu od zmysłów prawie.

Wania i Winia poskoczyły co żywiej do komórki, i wnet bohatyr nasz znikł zupełnie owinięty wonnym jałowcu i bursztynu obłokiem.

— A jaż mam tu zostać, ozwał się głos jęczący żałośnie, litość budzący.

Był to głos szambelana, który stał ciągle na nakazanem miejscu, ale spoglądał do salonu z wyrażeniem żalu, tęsknoty i pożądliwości tak komicznem, że nawet babka nie mogła wytrzymać i głośno się rozśmiała. Zmiękła referendarzowa, i stanęło na tem, że Leon miał szambelanowi drzwi otworzyć, obkadzić go należycie, i tak zpreparowanego wprowadzić z sobą do salonu.

Jakoż wkrótce znaleźli się wszyscy razem, i rozpoczęła się rozmowa nieco spokojniejsza. Referendarzowa spoglądała ciągle jeszcze z przestrachem na Leona i śledziła wszystkie jego ruchy, ażali nie odgadnie z nich grożącego niebezpieczeństwa jakiego. Nadaremnie Leon zagadywał ciągle, chcąc zwrócić rozmowę na zwykły tryb o potocznych wiadomościach jakich. Referendarzowa o niczem słuchać nie chciała, tylko o cholerze. Leon naturalnie dowodził ile mógł, że cholera nie jest tak straszną i niebezpieczną, jak to sobie ludzie ze strachu wyobrażają.

— Ej gdzie tam! odpowiedziała staruszka, znam ja te wasze młode a krzywe wyobrażenia o wszystkiem.

Na szczęście szambelan, który od niejakiej chwili po wszystkich chodził kątach, jakby czego szukał, wydobył ulubione dwie talje pasjansowe. Na ich widok uśmiechnęły się oczy referendarzowej, staruszkowie zasiedli do kart; Wania i Winia prośbami Brońci powodowane, poszły się zająć obiadem, a kochankowie zostali sami prawie, patrząc na się długo z milczącem uczuciem.

— Czy się godziło porzucić tak mnie niespodzianie! Brońciu! Brońciu! czyż to miłość?....

— Kiedyż bo nas nastraszyłeś tą cholerą.... a babka niechciała zostać ani chwili...

— Ależ ty Brońciu, czyż nie mogłaś choć kilką słowami uspokoić mnie?

— Babcia nie chciała już mieć żadnej z miastem styczności.

— Babcia ciągle babcia! ale ty Brońciu najdroższa!

— Ja to tylko widzę żeś niewdzięczny, mój panie Leonie!... i dziś czy ci nie dowiodłam, że cię kocham; bo gdyby nie ja, babka byłaby nie zezwoliła nigdy....

— Bym wskoczył do pokoju?....

— Niewdzięczny! nieufny! niewierzysz! —

— Że mnie kochasz?...

— Kocham.

— Nad życie kocham!...

— Nad życie! przemówiła Broncia z iskrzącemi oczyma.

(D. n.)

DYARYUSZ ŻYCIA
IGNACEGO ŁOPACIŃSKIEGO.

Pisarza skarb. w K. Lit.

(Ciąg dalszy.)

Przypadek zaś w Bausku był taki: gdyśmy się przybliżyli do tego miasteczka kurlandzkiego, wzięliśmy wiadomość, iż Moskwa tam stoi; i lubo się z nią niechciało się nam widzieć, zjeżdżać jednak z traktu obawialiśmy się, abyśmy niedali przez to Moskwie okazyi do suspicyi, i do większego nas gdzie po drodze turbowania. Sam jednak Pan Bóg, choć strasznym, ratował nas przypadkiem, bo gdyśmy stanęli w karczmie, tuż pod Bauskiem nad rzeką będącej, i chcieliśmy wraz promem przeprawić się, nadeszły podwody z prowiantem rossyjskim i kilku sołdatów z nimi, którzy nas niepuścili na prom: musieliśmy więc na popas wtrzymać się w karczmie.

Rzeka ta nazywa się Niemenek, bardzo bystra, na której młyn jest przy Bausku na kamiennej śluzie, przewóz zaś wyżej młynu na podniesionej wodzie, to jest płyt z dylów zrobiony na linie. Na ten tedy prom weszło kilka podwód z prowiantem i ludzi kilkanaście; gdy się odbili od brzegu, zaczął tonąć prom i na środku rzeki stanął.

Zrazu zajęła woda ludzi po kolana, potem coraz bardziej woda na prom się wzbierała: uczynili niebożęta ludzie wielki krzyk, ale ratować ich niemożna było, bo czółno gdzieś Rossyanie wyprowadzili; nakoniec gdy jeden brzeg promu zatonął, złamały się spajania dylów, i prom się na dwoje rozpadł. Ludzie niektórzy chwyciwszy się liny, salwowali się na oba brzegi: wozy z końmi powpadały do wody.

Jeden człek utonął, drugi wypłynął po wielkiem niebezpieczeństwie; trzeci płynąc trafił na brzeg kręty i wyleść nie mógł, długo się jednak pasował, aż nakoniec woda go uniosła na śluzę, i tam pogrążonym został; czwarty człek chwycił się kilku dylów, które się oderwały od promu, i onych trzymając się płynął, bo sam pływać nie umiał, i tak go niosła woda do śluzy, do której gdy przypłynął, przewrócił się tu prom i człek był pod nim; ale dziwnem boskiem przeznaczeniem, znowu bystrość wody obróciła go, i człek mocno trzymający się dylów, znalazł się na wierzchu, którego daleko niosła woda, póki ludzie z czółnami niedopadli. Widzieliśmy go wraz uratowanego.

Zrazu słowa nie mógł powiedzieć, ale się ciągle śmiał; potem gdy nieco przyszedł do siebie, pytany od nas czy podnosił myśl do Boga, odpowiedział iż nie miał na myśli jedno to, jakby się ratować. O! jak jest miłe doczesne życie, że nawet tego momentu, które nam one odbiera, zapominamy o Bogu: trzeba więc, nim się człek uda w niebezpieczeństwo, podnieść serce do nieba, bo po-

tem już po czasie. Adorowaliśmy natenczas Opatrzność boską nad nami, że nas i od widzenia się z Moskwą Bóg uwolnić raczył, i niedopuścił na tej przeprawie być w niebezpieczeństwie, boby się z nami to niechybnie stało, co z temi nieszczęśliwemi ludźmi.

Jużeśmy mieli racją minąć Bausk dla samej przeprawy; pojechaliśmy tedy dwie mile w niż rzeki, i tam na Łotysze przeprawili się łodziami. Szkudy, jadąc z Zagór do Kłajpedy, że nie są wcale na trakcie, zostawił mię brat mój i ludzi u wójta Szkudzkiej włości, Randowicza; a sam tylko z masztalerzem dobiegł do Szkud dla widzenia się z panem Sapiehą podkanclerzem, natenczas jeszcze starostą gulbińskim. Tam zdarzyło mu się poкłócić z panem Apolinarym Czudowskim, sędzią mścisławskim i musiał się z nim pojedynkować. Bóg dał, że obeszło się bez szwanku z obu stron, lubo się żwawie pocinali. Pan Rokicki, zacny człowiek, który umarł rejentem litewskim, uspokoił ich zaciętość i pogodził. Kończyliśmy zatém drogę na Kretyngę i stanęliśmy szczęśliwie w Memlu alias Kłajpedzie, za granicą pruską, gdzie że już nie mieliśmy przyczyny obawiać się żadnego niebezpieczeństwa, odpoczywaliśmy cały dzień, ile że nam gospodarz u którego staliśmy, przyrzekł dostawić bat, którym mogliśmy spłynąć aż o cztery mile pod Królewiec.

Jakoż raniuteńko przyprowadził nam sternika nazywającego się Krebs, co się znaczy po polsku rak; jakoż mieliśmy żeglugę nakształt chodzenia rakowego, bo gdyśmy wsiedli do batu i konie do niego wprowadzili, upewniał sternik (ile że był wiatr pomyślny), iż za godzin ośm mieliśmy ubiedz mil dwanaście hafem, który jest odnogą morską. Wązkiem miejscem pod Memlem łączy się on z morzem, a potem coraz się rozszerza i ma figurę gruszki, w środku której wpada Niemen; jest szeroki na mil dziesięć, wzdłuż zaś sporych mil 12. Gdy tedy podniesiono żagle, popłynęliśmy bardzo prędko, i za dwie godziny ubiegliśmy mil 6.

Brat mój po niewygodach podróżnych spać się układł, ja się bawiłem patrząc na rozległość wody, jakiej jeszcze w życiu niewidziałem, ile że mnogość ptastwa, jakoto: kaczek różnego gatunku, wron morskich, łabędzi przylatywanie i blizkie pływanie kontentowało oko; ale nakoniec i ja zasnąłem, a w tem się wiatr odmienił i zaczął nas pędzić nazad, niebo się zachmurzyło i fala powstała. Obudził się mój brat, pyta się sternika, daleko do kresu? który mu odpowiedział, już nazad dwie mile nas wiatr odpędził, życzył tedy abyśmy wysiedli i lądem jechali. Już było po zachodzie słońca, gdy mię obudzono, bom w tym huku wodnym smaczno spał; porwawszy się ze snu, a usłyszawszy niesłyszany mi szum i huk tak z fali na hafie będącej, jako też i morskiej (bo haf od morza dzieli się wązkim istmem, na pół mili miejscami mniej lub więcej szerokim), uląkłem się bardzo, i o włos co niewypadłem z batu, coby się stało, gdyby mię nieuchwycił chłopiec mój Pawłowski mający już lat 15. Dla miałkości nie mógł bat blizko przybić do brzegu; przeto wsiedliśmy do czółna i pobrali z sobą pościel i pieniądze, i tak płynęliśmy z pół ćwierci mili od batu do karczmy na noc, konie zaś i rzeczy zostawiliśmy przy masztalerzu w bacie.

Ja niewidzący dotąd ani wód wielkich, ani praktykującej fali, rozumiałem, że ten bat tej nocy będzie pogrążony, ile gdy przez całą noc wiatr wielki nie ustawał. Przenocowaliśmy w karczmie spokojnie; nazajutrz zaś, gdy wiatr przeciwny nieodmienił się, musieliśmy pospychać konie z batu, z któremi siła było trudności w wyrzuceniu onych do wody: nie mieliśmy jednak żadnej szkody prócz mitręgi i zguby czasu, bo cośmy mieli stanąć na sam św. Józef, imieniny księdza Sapiehy, tośmy stanęli w oktawę tego święta. Jechaliśmy zawsze samym brzegiem morskim, tak dalece, że wały morskie biły pod sam brzuch konie; na morze patrząc, zda się że coraz wyżej woda stoi i łączy się z obłokami, bo wzrok ludzki w takiej odległości przejrzeć nie wystarczy. (D. c. n.)

Listy z Krakowa.

I.

Jesień i pustki w mieście. — Kormanek, Żygliński. — Balicki. — Rogoziński. — Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych. Sprawozdanie i Sekretarz jego. — Istnieje litografia w Krakowie. — Cercha. — pomnik Jana Kochanowskiego. — Myłka archeologiczna.

Jesienny zimny wicher już od kilkunastu dni zawiał po pustych ulicach i plantacjach miasta naszego. Po plantacjach odziera przynajmniej kasztany z żółtawych już liści — lecz po ulicach o same się tylko mury rozbija, bo rzadko kiedy spotka nawet człowieka, któremuby kapelusz zdarł z głowy lub płaszcz na ramionach przekręcił. Bo już też dawno nie był nasz Kraków tak pusty jak teraz; — z początkiem zaraz lata, jak w każdem większem mieście, znaczniejsza część ludności wyniosła się na wieś, do wód, dla zdrowia, zabawy, lub potrzeby. W tym zaś roku prócz zwykłej emigracyi, mnóstwo jeszcze osób dezerterowało przed cholerą, która w niszczącym pochodzie powyrywawszy pełno ofiar, przestraszone resztki z miasta powyganiała. A Paryż i jego wystawa niemało także krakowian ściągnęły.

Jak to miasto po cholerze wygląda, Lwowianie dziś najlepiej wiedzą, nieciekawe to więc dla nich. Każda okolica nosi wtedy jeden i ten sam charakter! —

Z pomiędzy zmarłych na cholerę w tych czasach osób, pozwólcie niech wspomnę o dotkliwej stracie, o człowieku któremu rzadki talent i zamiłowanie pracy od Boga się w udziale dostało, a który wszelkiemi siłami walcząc z przeciwnością, nie mógł zabłyszczeć swemi

zdolnościami, nie mógł wzbić się wyżej tak jak duch jego był w stanie, lecz poświęcony niewdzięcznej, mozolnej pracy, znajdował w niej ledwie kęs chleba dla siebie i swojej rodziny, a przed kilkunastu dniami w największej nędzy — bez żadnej ludzkiej pomocy — w małej, biednej izdebce życie zakończył. —

Konstanty Kormanek, malarz - artysta, był jednym z tych ludzi co obdarzenie zdolnością, nie mając podanej sobie ręki, coby im w codziennych kłopotach życia ulżyła, do zaspokojenia najpierwszych potrzeb pomogła, pracował z całem zamiłowaniem po dniach i nocach, w ciasnej, ciemnej izdebce na Kleparzu. Tam ukryty, nie mógł ludziom dać poznać swego imienia, prac na publiczy widok wystawić, bo do tego trzeba stosunków, trzeba sobie wstęp ułatwić, drogę utorować; trzeba wreszcie nieraz umieć się wcisnąć, czasem miną nadrobić, komedją odegrać, bo to popłaca, to pociąga dzisiaj! —

Urodzony w. r. 1824, z ubogich rodziców, którzy cały swój dochód obracali aby synowi jedynemu dać jakie takie wykształcenie, w r. 1839 zaczął chodzić do techniki. Tu będąc zawsze pierwszym z pomiędzy rówienników, ukazywał ogromne zdolności i zamiłowanie do rysunków. Ukończywszy w r. 1844. chlubnie technikę, zapisał się do szkoły malarstwa, naówczas pod prof: Bizańskim. W tej kształcił się, rozwijał pod tym i pod następnemi professorami, jak: Głowackim, Płończyńskim, Stattlerem aż do r. 1852. Te ośm lat liczył do najszczęśliwszych swego życia. Oddany cały pracy, rysował, malował ciągle. W tych czasach studjował najwięcej Julienna, Rembrandta, Villenenva, Steinfelda i innych i dużo też kopij tych mistrzów zostawił. W r. 1852, gdy bieda przycisnęła go zupełnie, musiał przestać chodzić do szkoły malarstwa, bo nie miał tyle nawet, żeby na kilka dni naprzód utrzymanie życia zapewnionem było. W smutnej tej ostateczności zmienił rodzaj swej pracy, i rzucił się do tego, co mu przynajmniej pewne codzień parę złotych zarobku dostarczało, rzucił się do malarstwa pokojowego. Pracując prędko, dokładnie, rozrywany był wszędzie; robił tylko same najtrudniejsze w tym rodzaju malarstwa rzeczy; bo ozdoby, rozety i wszystko co wprost od ręki się robi. Męczącej i mało przynoszącej tej pracy niezmordowanie się oddawał, a namawiany nieraz od kolegów aby wziąwszy udział w jakiemś większem przedsięwzięciu, tem sobie imię i większy zarobek pozyskał, musiał odrzucać życzliwe chęci, nie korzystać z ułatwionego sobie stosunku, bo na zapłatę choć większą, musiałby dłużej czekać, a tu na jutro chleba niema, ni drzewa by w piecu zapalić! I dla tego też musiał odrzucić chlubne zaproszenie do współudziału w wydawaniu *Wzorów Sztuki* hr. Przeździeckiego. Ależ nawet i tu cztery, pięć złotych polskich dziennie, czyż mogło wystarczyć dla całej rodziny w dzisiejszym czasie? W zimie zwłaszcza, gdy i tej roboty niema, zarobek był mu tem trudniejszy. Rzadko zdarzyła się jakaś lekcja, kiedy niekiedy tani portrecik, czasem robota jakaś na kamieniu w swieżo otworzonej litografii Cerchy. Słowem, walka życia była mu coraz cięższą, zdrowie jego z braku zdrowego pożywienia podupadało nieraz, a i duch słabł i chorzał. Dziś pozostała po nim rodzina w ostatniej jest biedzie, za całą spuściznę po zmarłym, mając trochę kopij, studjów, widoków akwarellą bądź z natury bądź kopjowanych, wzorów rysunkowych do litografii przygotowanych.

Roboty jego zadziwiają czystością wykończenia, delikatnością, śmiałością, i pewnością nadzwyczajną wreszcie. Kormanek więc był to talent, który był tyle uposażony że mógł się wznieść wyżej, zaświecić, lecz niezwrócono na niego uwagi, zbyt dużo było obojętności w około, a dziś już dla nas na zawsze on zagasł, był to pąk w rozkwicie, wczesnym przymrozkiem zwarzony.

Smutną to rzeczą dla Krakowa, w murach jego, w przeciągu pięciu lat, zmarło w ten sposób, w nędzy, w szpitalu czterech ludzi, podobnych do siebie zawodem, życiem całem, i śmiercią wreszcie. Tak samo bowiem jak Kormanek dzisiaj, zmarł *Żygliński* poeta i malarz w r. 1849, *Karol Baticki* malarz w r. 1854, a *Marcin Rogoziński*, rzeźbiarz w bieżącym także roku.

(D. c. n.)

Rozmaitość.

* **Z nad ujścia Wisłoki dnia 15. Września.** Siewy u nas dosyć żwawo idą, dzięki sprzyjającej dotąd pogodzie; od dwóch dni jednak deszcze ulewne wstrzymują na czas jakiś roboty, co nie małym jest dla naszej okolicy uszczerbkiem, bo kto tu przy małej ludności i niechęci do pracy, jaka między nadwiślańskiemi włościanami panuje, siew na czas ukończy, ten się do szczęśliwych policzyć może.

Żniwo zupełnie ukończone; zbiory są gorsze jak mierne a więc gorsze od roku zeszłego. Żyta, których niewyorano, mało kop wydały a namłót nie osobliwszy. Pszenice, na które wiele liczono, tak są podpalone, iż nietylko że 24 garncy z kopy do najlepszego namłotu należą, ale jeszcze ziarno drobne jak komarze nosy; do siewu płacą po 16 złr. m. k. za korzec i trzeba po kilka mil po nią posełać, bo tylko w lepszych gróntach lepiej się udała. Jęczmień także lichy, ziarno nikłe a słomy nadzwyczajnie mało; owsy i grochy lepsze, bób urósł w łodygę ale strączków mało, ziemniaków więcej pod krzakami ale za to gniją, a praktyczni koloniści niemcy już je całkiem wykopują i wywożą do miasteczek, gdzie po 5 do 6 r. w walucie korzec im płacą.

Słowem widoki są na ogromne ceny ku wiośnie, a co gorsza na głód pomiędzy włościanami, bo i kapusta i rzepa chybiła; nie wiem zatem skąd korespondencja austryacka czerpała wiadomości, które „Czas" powtórzył, o zbiorach, ale minęła się z prawdą, bo pszenica nie wszędzie, ale rzadko gdzie się udała. Paszy jest o połowę mniej, co łatwo poznać po tem, że koło gumien sterty nie stoją, a ogólnie zbiór do gorszych jak mierne policzyć można i zaspiewać sobie:

Nieudało się nam ni zboże ni rzepsko,
A więc panie bracie będzie z nami k.....o.

Cholera i do nas zawitała, ale to jakaś arystokratka, bo tylko biedniejszą klassę nawidza, po dworach rzadko się pojawia, a i tu patrycjuszów szanuje. Prawda już, że patrycjusze proszki Doverego ledwie że z chlebem nie jedzą, a krople Sztraforta zamiast kontuszówki na śniadanie piją, a to nawet w miasteczkach, gdzie najwięcej między żydami grasuje, powiadają, że żaden porządny żyd nie umarł, czemu bardzo uwierzyć łatwo, bo też w tych miasteczkach porządnego żyda nawet cholera nie znajdzie.

Zapowiedziana i zbliżająca się organizacya przerwała wszelkie działania sądowe, przeznaczone do transfiguracyj władze wyczekują jedynie chwili, w której urzędować przestaną. Wiem wypadek, że w pewnej jurysdykcyi podanie *prowizoryczne* o łąkę już trzy miesiące zalega, a tym czasem strona zapozwana zebrała siano i otawę, potrzeba zatem *prowizoryum* minęła, bo jeśli kiedyś była kłótnia o wiatr, to kiedy siano zebrane, to teraz kłótnia byłaby o śnieg albo o rosę. —

Już raz wspomniałem o koniecznej potrzebie rowów w naszej nisko położonej okolicy. Teraz gdy znowu głód zagraża, czy nie dobrze by było, pomyśleć nad tem, i powoławszy do konkurencyi dominia czyli większych właścicieli, aby gotowemi pieniędzmi roboty koło rowów płacili, zmusić gromady do pracy i przez to podawszy włościanom środek zarobku, na drodze użytecznej choć w części zasłonić ich od klęski głodowej.

* Jakeśmy donieśli, grobowiec w kaplicy ukrzyżowonego zbawiciela w Archikatedrze łacińskiej przez J. E. naszego arcybiskupa własnym kosztem położony hr. Andrzejowi Alojzemu Skarbkowi Ankwiczowi, księciu arcybiskupowi pragskiemu a przedtem od r. 1814 do r. 1833 arcybiskupowi lwowskiemu, w Niedzielę dnia 23. b. m. został odsłonionym; napis podamy w następnym numerze.

* W sobotę dnia 29. b. m. w dzień uroczysty ś. Michała patrona Galicyi, wielka Msza pod dyrekcyą pana Frodla, członka przy orkiestrze teatralnej.

* Pan Glöggl, dyrektor teatru niemieckiego odjechał do Wiednia dla skompletowania swojego towarzystwa opery i dramatu.

* Wczoraj powróciło towarzystwo sceny polskiej pod dyrekcją p. Chełchowskiego z Czerniowiec.

Przyjechali od dnia 21. do 24. Września do Lwowa.

PP. Kalinowski Władysław hr. z Bakowiec, Kalchberg Józef i Madurowicz Walenty ze Szkła. Schuman Julian ze Żółkwi. Thullie Jan z Mokrzan. Siemiński Wilhelm hr. z Oderbergu. Wierzchowski Wicenty z Krulewic. Obertyński Wacław z Sawczyna. Różański Feliks z Kołomyi. Kozicki Edward z Siekierzyniec. Ciepielowski Albin z Krakowa. Rozkoszny Mikołaj z Czerniowic.

PP. Adam Sapieha książę z Krasiczyna. Bocheński Józef z Głęboczka. Romaszkan Mikołaj z Horodysk. Kunaszewski Władysław z Kuliszczy. Malczewski Julian z Skwarzawy. Podlewski Aleksander z Dołhego.

PP. Pietruski Otto, Cielecki Ferdynand, Cielecki Władysław i Borkowski Włodzimierz z Krakowa. Łucki Adam z Sarny. Siarczyński Zygmunt z Streptowa. Starzyński Stanisław hr. z Derewni. Obertyński Leopold z Stronibab. Białobrzyski Stanisław z Dzidziłowa. Łańckoroński hr. z Rawy. Rojewski Feliks z Cieszanowa. Chomiński Modest ze Żółkwi. Cywiński Łucian z Nowosielec. Komarnicki Roman hrabia ze Złoczowa. Rozwadowski Erazm z Hladek. Nahojowski Anton z Czernicy. Zawadzki Józef ze Stryja. Śliwiński Wojciech z Dąbrowicy.

Wyjechali od dnia 21. do 24. Września ze Lwowa.

PP. Golejewski Tad. hr. do Sokołowa. Starzeński Edward hrabia do Bełzca. Kielanowski Tytus do Żelechowa. Kmicikiewicz Konstanty do Krakowa.

PP. Jaworski Mikołaj do Kobylnicy. Thullie Stanisław do Czernichowiec. Bochdan Stan. do Zadwórza. Rodakowski Józ. do Krakowa. Körber Frydryk do Złoczowa.

PP. Strzelecki Jan do Kukizowa. Bogdanowicz Jan do Rykliniec. Pietrzycki Feliks do Przemyśla. Ciepielowski Albin do Sawczyna. Ponińska Wicenta księżn. do Czerwonogrodu. Bogdanowicz Robert do Litatyna.

Kurs telegrafowany z Wiednia 24. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	114	Pożyczka 5%	$79\frac{5}{8}$ —
Hamburg za 100 tal. banco	$83\frac{1}{4}$	Akcye banku	1062
Londyn za 1 funt szterl.,	11 3	Kolej północna	$2057\frac{1}{2}$
Medyolan za 300 lirów	113	Obl. ind.	$66\frac{3}{4}$
Paryż za 300 franków .	$131\frac{1}{2}$	Nowa pożyczka z loterya	98
Agio duk. ces.	$19\frac{1}{4}$	Pożyczka narodowa . .	$79\frac{5}{8}$

Wczorajszy Kurs Lwowski	Gotówka złr.	kr.	towarem złr.	kr.
Dukat holenderski	5	22	5	25
Dukat cesarski	5	30	5	34
Półimperyał zł. rosyjski	9	12	9	15
Rubel srebrny rosyjski	1	47	1	48
Talar pruski	1	42	1	44
Polski kurant i pięciozłotówka	1	16	1	17
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	91	36	91	—
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	70	—	70	24
5 proc. pożyczka narodowa	79	30	80	30

Lwów, 24. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 33 złr. 45 kr. do 40 złr. — kr. — Żyta po 21 złr. — kr. do 27 złr. 30 kr. Jeczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 12 złr. 30 kr. do 14 złr. 45 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 21 złr. — kr. do — złr. — kr. — Ziemniaków po 8 złr. 45 kr do 10 złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 42 złr. 30 kr. do 43 złr 45 kr. Sosnowego po 38 złr. 7 kr. do — złr. w. w. Cetnar siana 2 złr. $47\frac{1}{2}$ kr. do 3 złr. $32\frac{1}{2}$ kr., Centnar słomy 2 złr. 30 kr. do 3 złr. $22\frac{1}{2}$ kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. $27\frac{1}{2}$ kr. w. w.

☞ Do dzisiejszego numeru dołączony jest Dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: H. W. Kallenbach. Z drukarni E. Winiarza.

Dodatek do dziennika „NOWINY“ Nr. 114 z roku 1855.

Nowości literackie

w księgarni H. W. Kallenbacha we Lwowie.

Sny życia naszego.

Poezye

przez

Wincentego Gaździckiego.

w 12ce Warszawa, 1855. 1 złr. 12 kr.

CHATKA W LESIE.

Dziwactwo dramatyczne w pięciu ustępach.

przez Władysława Syrokomlę.

w 12ce Wilno 1855. 2 złr. oprawne 2 złr. 12 kr.

SZKICE WARSZAWSKIE.

Lichwiarze

przez

Wacława Szymanowskiego.

w 8ce Warszawa 1855. 1. złr. 30. kr.

WYCIECZKI

po stokach galicyjskich i węgierskich Tatrów.

przez Dra. T. Tripplin.

2 tomy w 12ce Warszawa 1855. 4 złr. 48 kr.

O PRZEZNACZENIU DZIEWICY,

jako kochanki i narzeczonej,

oraz

zasady przyzwoitego ułożenia, uprzejmości i godności, które dziewica w zakresie domowym, w obcowaniu z przyjaciółkami i w towarzystwie młodzieży zachować powinna.

przez Matyldę K.

w 8ce Warszawa 1855. 1 złr. 30 kr.

POWIEŚCI MORALNE

dla dzieci.

przez *Autorkę pamiątki po dobrej matce.*

Wydanie trzecie poprawne i pomnożone, i czterma rycinami ozdobione.

w 12ce Warszawa 1855. 2 złr.

Urodzony Jan Dęboróg,

dzieje jego rodu, głowy i serca, przez niego samego opowiadane, a rytmem spisane

przez

Władysława Syrokomlę.

Wydanie drugie poprawne i powiększone.

W 12ce duż. Wilno 1855. 2 złr.

O drzewie i jego użytkach,

przez

Benedykta Aleksandrowicza.

w 8ce duż. Warszawa 1855. 3 złr. 36 kr.

Chemiczne

Sprawy żywotne,

przez Dra. medycyny

A. Kryszkę.

w 8ce duż. Warszawa 1855. 3 złr.

WYRABIANIE SPIRYTUSU

z buraków

jako najpewniejszy środek produkowania

tanio mięsa,

a zarazem znacznego powiększenia zbioru zboża.

w 8ce duż. z dwiema tablicami rycin.

Warszawa 1855. 4 złr.

ŁUBIN,

nowa roślina gospodarska.

Dwie rozprawy

Hermana Gropp i W. Kettego.

w 8ce Poznań 1854. 36 kr.

PRZEWODNIK

do hodowli pszczół.

przez

Jana Sikorskiego.

w 8ce Wilno 1854. 36 kr.

*

Von der bei **Engelhorn & Hochdanz in Stuttgart** erscheinenden

Allgemeinen Muster=Zeitung,

Album für weibliche Arbeiten und Moden.

Preis vierteljährlich — **1.** fl. C. M.

ist die erste Nummer des IV. Quartals für **1855** bereits erschienen, und werden hierauf, so wie auf die verflossenen Quartale von jeder Buchhandlung und allen Postämtern Bestellungen angenommen.

Mit dieser Nummer wird zugleich die Prämie für das IV. Quartal ausgegebn.

Zu Aufträgen empfehlen sich: **Joh. Milikowski; H. W. Kallenbach; P. Stockmann; K. Wild in Lemberg.**

Pâte Dentifrice.

C. kr. przywilejem nadana

Pasta na zęby

wynalazku dentysty i okulisty

Pfeffermanna

znana jako dotąd najwyborniejszy środek do czyszczenia zębów.

☞ Proszę nie brać za jedno i to samo z zawiniętem w paczki pospolitem mydłem, nazwanem pastą na zęby pod nazwiskiem **Dr. Suin de Boutemard.**

Pasta Pfeffermanna złożona z bardzo aromatycznych części posiada w wysokim stopniu własność uwolnienia zębów od osadu kamiennego i ożywienia barwy dziąseł. Przy ciągłem jej używaniu zęby otrzymują białość śnieżną, dziąsła i inne części czerstwość wielką i przyjemne ochłodzenie i smak, przyczem wszelki niemiły odór ustaje.

Osobliwie wszystkim podróżującym zalecić tę pastę można, gdyż nigdy prochem nie przypada. Przytem jest także w stosunku do wszystkich znanych podobnych środków najtańsza, gdyż ozdobna puszka wystarczająca na sześć miesięcy kosztuje **1** złr. **20** kr. m. k.

Do nabycia we Lwowie w handlu pod Nadzieją Michała Dymeta.

w Jarosławiu u Ign. Bojana — w Tarnopolu u Fr. Csillika. w Samborze u J. Rosenheima — w Rzeszowie u J. P. Pellara.

(4—6) (151)

POMADA POZIÓMKOWA

A. C. Leyera,

pachnidlarza pod godłem

„zur Stadt Köln" Hofgasse Nr. 52

w Gracu.

Świeża poziomkowa pomada użyteczna jest dla każdego; panowie i panie, starcy i dzieci mogą używać jej z wielkim pożytkiem i bez najmniejszej obawy. Włosom nadaje miękkość i połysk, czyści głowę od paprów, korzeń włosu umacnia i żywi silnie, a nie mając w sobie korzennych olejków, najmniej szkodliwą być nie może. Delikatny zapach tej pomady przyjemnym jest dla wszystkich, nawet dla osób cierpiących bole głowy, lub homeopatycznie się leczących. Jednem słowem poziomkowa pomada zasługuje przed wszystkiemi innemi środkami na włosy na pierwszeństwo dla toalety, i wyręcza je we wszystkiem. Przy używaniu jej coraz rzadsze są siwe włosy lub łysiny a coraz częstsze włosy piękne, długie, połyskającej barwy.

Jak pomady poziomkowej używać?

Zrana po wstaniu z łóżka, gdy głowa jeszcze ciepła, szczotkuje się włosy nie bardzo twardą szczotką i naciera pomadą palcami głowę, i znowu szczotkuje, przezco korzeń się zasila i pomada w włosy wchodzi. Przyjemne orzeźwiające i posilające uczucie powstaje na całą głowę, włosy otrzymują połysk, barwa naturalna nabiera świeżości, a fryzura równie jak i delikatny przyjemny zapach utrzymuje się przez dzień cały. Kosztuje jeden słoik **36** kr. m. k.

We większych partjach spuszcza się prowizją.

We Lwowie w handlu „pod Nadzieją" Michała Dymeta,

w Jarosławiu u Ign. Bojana — w Rohatynie u G. D. Neranzi — w Samborze u J. Rosenheima — w Stanisławowie u Schallego.

(3— 6) (152)

Handel galanteryjny

WINCENTEGO KIRSCHNERA

we Lwowie

w rynku pod Nrm. 155,

otrzymał temi dniami znaczny zapas

PŁÓTNA,

rumburskiego, zwanego „szwajcarskie weby" równie też holenderskiego,

które się sprzedają po cenach najumiarkowańszych.

(171 2—3)